

# Spóźnione Zaćmienia

30 Kwiecień 2011

Te zaćmienia słońca i księżyca, które niedawnymi czasy przypadły,  
nie zwiastują nam nic dobrego; niech je nauka przyrody,  
jak chce wyklada, zawsze to pewne, że one w skutkach  
są świata ludzkiego plagą: miłość chłodnieje, przyjaźń zawodzi,  
braterstwo popada w rozdzielenie;  
w miastach rozruchy, po wsiach zatargi, w pałacach zdrada;  
węzeł pomiędzy ojcami i dziećmi zostaje przerwany....  
— *William Shakespeare, Król Lear*

## Jeden

Sklep Safeway'a w centrum San Francisco był praktycznie opuszczony. Nie byłam tym zaskoczona zważywszy na to, że była prawie pierwsza w nocy. May, mój sobowtór i aktualna współlokatorka, zamęczała właśnie rezydujące tu pixie. Ich krzyki irytacji były prawie na tyle głośne, że udało im się odciągnąć mnie od powierzonego mi zadania. Prawie, ale nie do końca. Mieliśmy robotę do wykonania a ja na Oberona, miałam zamiar ją wykonać.

Rozglądając się wśród rzędów półek z płatkami, rozważałam moje opcję z wyrafinowaną wręcz troską, nim chwyciłam z półki pudełko płatków marki Lucky Charms. Są pyszne, kiedy spożywa się je z wystarczającą ilością kawy nawet, jeśli oznacza to tolerowanie tego kartonowego krasnoludka. Zawahałam się nim wzięłam drugie pudełko. Nie każdej nocy dane mi jest, tak się popisywać.

Nazywam się Toby Daye. Jestem w połowie wróżką, w połowie człowiekiem i jestem desperacko podekscytowana faktem, że stać mnie na kupno markowych płatków kukurydzianych.

Pusty Safeway działał świetnie na mój nastrój. Nie cierpię robić zakupów tam, gdzie kiedyś pracowałam i ostatnią rzeczą, jakiej chciałam po spędzeniu trzech dni w robocie, to użeranie się ze swoimi byłymi współpracownikami. Wydawali się podzielać ten pogląd, skoro wszyscy zniknęli na zapleczu, jak tylko się pojawiłam.

Nie miałam nic przeciwko. Nie byłam zbyt przyjacielska, kiedy tu pracowałam (wroga, to raczej właściwe określenie). Plus tak naprawdę nie rzuciłam pracy, tylko raczej wyszłam i nigdy już nie wróciłam.

Nie była mi pisana kariera kasjerki. Prawdopodobnie, nie było mi pisane nic, co wiązało się z pracą, z ludźmi w miejscu publicznym, co czyniło moją pracę prywatnego detektywa/rycerza, jeszcze bardziej ironiczną. Wciąż jednak, kiedy żyjesz w zacienionym pograniczu świata wróżek i śmiertelników, nie możesz się spodziewać niczego specjalnego. W końcu ani żebracy, ani Odmieńcy nigdy nie są tymi wybranymi.

Śledzenie było pierwszym z moich dwóch powołań oraz tym, które pozwoliło mi aktualnie zapłacić rachunki, przy pomocy teleobiektywu i minimum magii. Moją klientką była wróżka Silene, która chciała wiedzieć gdzie jej mąż spędza swój wolny czas. Wróżki Silene to konie od pasa w dół, solidne, praktyczne i zazdrosne jak cholera.

Nigdy nie powinna była wychodzić za Satyra<sup>1</sup>, jeśli nie chciała, aby jej mąż spoglądał na inne kobiety, skoro w zasadzie taka jest natura Satyrów. Jej podejrzenia nie były bezpodstawne, jej mąż, kozak uskutecznił pozamałżeńskie kontakty z łąnią mieszkającą dwie ulice dalej. Kilka nocy spędzonych w samochodzie, kilka kompromitujących zdjęć i znalazłam się w tej rzadkiej komfortowej sytuacji, kiedy to mogę zapłacić za swoje zakupy.

Brak personelu nie był problemem dzięki moim towarzyszom. May pędziła przez sklep na tyle szybko, że równie dobrze mogłaby poruszać się na rolkach. Nasz wspólny przyjaciel, Danny poruszał się zdecydowanie spokojniej i robił to, mając ponad siedem stóp wzrostu. Nie jest może aż taki duży jak na mostowego trolla, ale świetnie się sprawdza, kiedy trzeba zdjąć coś z najwyższej półki.

— Hej! — May podbiegła do mnie z naręczem melonów. Wrzuciła je bezceremonialnie do koszyka, bez zastanowienia się, że mogła równie dobrze zgnieść je w czasie tej czynności. — Wiedziałaś, że tam są pixie?

— Tak, tak jak i ty. — Odbiłam piłeczkę. Nikt nigdy nie wykombinował, co sprawia, że pojawia się sobowtór, ale kiedy już się pojawia, to przychodzi z całym arsenalem wspomnień osoby, którą małpuje. To omen śmierci, kiedy tylko pojawi się sobowtór z twoją własną twarzą, twoje dni są teoretycznie już policzone. Szczęśliwie dla mnie, May ma tyle wrodzonego zainteresowania, aby podążać zgodnie z zasadami, jak ja i tak naprawdę ocaliła mi życie przynajmniej raz.

Z tego, co wiem, jestem pierwszą osobą, która przeżyła dłużej niż miesiąc od pojawienia się sobowtóra i zdecydowanie jestem pierwszą osobą, która poprosiła swojego sobowtóra, aby z nią zamieszkał.

Zasób pożyczonych wspomnień May zawierał też te, w których pracowałam na kasie w Safeway. Nie było to okres mojego życia, nad którym chciałabym się rozwodzić, chociaż mój wewnętrzny cynik lubił podkreślać, jak wiele osób próbowało mnie zabić, mniej więcej w tym czasie. A jednak bez tych wszystkich zamachów na mój skromny żywot nie potrzebowałabym sobowtóra i ominęłaby mnie doskonała wegetariańska lasagna May. Są jednak jasne strony wszystkiego.

May wyduła usta w geście obrazy. Ot kolejny wyraz twarzy, którego nigdy nie nosiła moja twarz, dopóki wszechświat nie zdecydował się zrobić jej kopii. — Stoisz sobie żarty ze wszystkiego.

— To właśnie ja. — Zgodziłam się. — Toby Daye, skrytobójca zabawy.

— Powinnaś umieścić ten tekst na swojej wizytówce — powiedział Danny, chichocząc, gdy wyłonił się z za rogu. Dźgnęłam go łokciem, co sprawiło, że zaczął jeszcze bardziej chichotać. Trolle mostowe mają skórę twardą jak granit, bicie ich to całkiem dobry sposób na złamanie sobie czegoś.

Jęknęłam — To nie jest zabawne.

— Nie zgadzam się — powiedziała May uprzejmie.

— Och, idź przynieść chleb — odpowiedziałam.

— Już się robi! — Zasalutowała zanim zniknęła ponownie.

Danny posłał mi kose spojrzenie — Nic ci nie jest? Wydajesz się spięta?

— To ten sklep. — Potrząsnęłam głową. — Wiem, że to najlepsze miejsce na zakupy, ale istnieje powód, dla którego głównie żyję na rzeczach, pochodzących z Mc drive'a.

— Może, dlatego właśnie dostałaś sobowtóra. Jest jak wróżka, miss zdrowego odżywiania, przybyła tu, aby ukarać cię za wszystkie te podwójne hamburgery.

<sup>1</sup> Satyr — w mitologii greckiej każda z istot o mieszanej budowie (ludzie z koźlimi nogami i uszami)

— Cóż, to by przynajmniej wyjaśniało, dlaczego wciąż zmusza mnie do jedzenia sałaty.— Zaczęłam, wrzucając pudełka wafli przekładanych czekoladą i cynamonem do wózka. Danny wyrzucił oczami i skierował się ostentacyjnie w stronę półek ze *zdrowym musli*.

Nie zawsze uważałam się za znawczynię hamburgerów z fast foodów i burrito z mikrofali. Nigdy nie byłam dobrą kucharką (były narzeczony raz przyrównał moją pieczeń do czegoś rozjechanego na drodze), choć kiedyś wkładałam w to więcej wysiłku. Ale wtedy mój zwierzchnik poprosił mnie o niewielką przysługę i skończyłam spędzając czternaście lat, jako zaczarowana ryba. Po tym wydarzeniu trudno było mi wykrzesać choćby odrobinę entuzjazmu w tym temacie. Klątwy i sprzeczności są historią życia każdego Odmieńca, moją chyba nawet bardziej, niż kogokolwiek innego. Odmieńcy nie są skradzionymi ludzkimi dziećmi, jesteśmy krzyżówką, zrodzoną z obydwu światów, nienależącą w pełni do żadnego. Moja matka była wróżką a ojciec...no cóż, nią nie był. Wychowywano mnie jak człowieka do czasu, aż rodzina mojej matki odnalazła nas i zaciągnęła do Letnich Krain. Mama nie chciała iść i po tym wydarzeniu raczej całkowicie zaniedbała moje wychowanie. Uciekłam tak szybko jak tylko stwierdziłam, że jestem już odpowiednio duża i natychmiast wpadłam w nieodpowiednie towarzystwo. Był to dość smutny, ale i powszechny schemat z tym, że ja miałam szczęście i dobrych przyjaciół, którzy wyciągnęli mnie z tej kiepskiej sytuacji. Przysięgam swoją lojalność Sylvesterowi Torquill, mężczyźnie, który nie dbał o to jak bardzo pomieszana była moja krew. Poznałam ludzkiego mężczyznę, zakochałam się i powtórzyłam błędy mojej matki, nawet ten dotyczący porzucenia swojej małej dziewczynki.

Jaka matka taka córka.

May spojrzała na wafle kiedy wróciła z chlebem.— Naprawdę ich potrzebujemy?

— Są częścią zbilansowanego śniadania.

— W czyjej rzeczywistości?

— Mojej.— Złapałam kolejne pudełko wafli. — Danny, mamy wszystko?

— Tak — powiedział i podniósł z łatwością trzy torby żwirku dla kota z podłogi.—

Chodźmy stąd.

— To oznacza, że musimy zawołać kogoś, aby nas skasował. — Zaczęłam pchać wózek do przodu. — W innym razie, możemy zostać posądzeni o kradzież, gdy moi byli współpracownicy nadal będą pozostawać w ukryciu.

— To nasza dziewczynka.— Danny poklepał mnie po ramieniu jedną wielką ręką, prawie zwalając mnie z nóg.— Zawiera przyjaźnie, gdziekolwiek się nie uda.

— Coś w tym rodzaju — wymamrotałam.

May potrafi być podatna na wszelkiego rodzaju reklamę jak sześciolatka, wrzuciła do koszyka pięć batonów, podczas gdy my staliśmy czekając przy kasie. Podniosłam brew. — Potrzebujesz aż takiej ilości czekolady?

— Możesz sobie krytykować ilość spożywanej przez mnie czekolady, za to ja będę krytykować ilość spożywanej przez ciebie kawy.

Zmarszczyłam nos. — To było niskie zagranie.

— A jednocześnie tak dobrze wycelowane.

Drzwi do pomieszczenia socjalnego stanęły otworem i pojawił się Pete (kierownik nocnej zmiany i mój były szef), kierując się w naszą stronę. Wyraz jego twarzy sugerował, że właśnie zjadł coś kwaśnego. Zazwyczaj tak właśnie wyglądał, gdy miał do czynienia z klientami. To, że do klientów teraz ja się zaliczałam, było dodatkowym bonusem.

— October — powiedział. Miał na tyle przyzwoitości, że próbował brzmieć na zaskoczonego. Po prostu brakowało mu umiejętności aktorskich, żeby wyszło przekonująco. Zerknął na May i Danego, unosząc brwi w znacznie bardziej realistycznym zmieszaniu. Ktokolwiek ostrzegł go, że jestem w sklepie, nie zawracał już sobie głowy przekazaniem informacji, że jestem tutaj z identyczną bliźniaczką.

— Pete — powtórzyłam. — Pracowita noc?

Jego policzki poczerwieniały. — Inwentaryzacja.

Inwentaryzacja oznaczała więcej personelu w sklepie a nie mniej. Ale nie drażyłam tego tematu. — Jasne. Cóż, to mój przyjaciel Danny. — Danny skinął. — I moja siostra May.

— Witaj — wyszczerzyła się w uśmiechu May, obracając na pięcie.

— Miło cię poznać, dzięki że byłeś taki niesamowity dla Tobes?, kiedy tu pracowała.

— Uhm — odparł Pete. — No tak.

Nie mogłam go za to winić. Poznanie May, wywierało właśnie taki efekt na ludziach, zwłaszcza takich, którzy znali mnie od dłuższego czasu. Wyglądała nieomal dokładnie tak samo jak ja a ludzie nie oczekiwali, że taka ilość wigoru kiedykolwiek opuści moje usta. Poczyniła pewne kroki, aby odróżnić się ode mnie, przekłuwając uszy w sześciu miejscach i farbując swoje brązowo szare włosy w pasemka o kolorze magnety i elektryzującego błękitu, ale struktura kości była taka sama.

Pete kasował zakupy jak na jakimś autopilocie, pakując je nawet sam, kiedy nikt nie wyszedł, aby mu pomóc. Nie próbował nawiązać rozmowy. W rzadkim akcie litości, May nie chciała go zmuszać.

Rachunek wyszedł nieco ponad trzysta dolarów, bolesny, ale oczekiwany, biorąc pod uwagę to, że ostatnio jedliśmy już makaron w puszkach i jakieś tajemnicze rzeczy z głębi moich kuchennych szafek. Zapłaciłam gotówką. Pete zmarszczył się, ale nie skomentował. Czasem lepiej jest nie wiedzieć.

— Miło było ponownie cię zobaczyć, Pete — powiedziałam, pchając wózek do przodu. Danny i May podążyli za mną, choć raz obydwoje milczeli.

Doszliśmy nieomal do drzwi, kiedy Pete zawołał z wahaniem. — Czy wszystko..... byłaś dość nieszczęśliwa, kiedy tu pracowałaś. Czy sprawy przybrały teraz lepszy obrót?

Zerknęłam przez ramię, posyłając mu szeroki, szczery uśmiech i powiedziałam — Wszystko jest cudownie.

Pete pokiwał, ja też i opuściliśmy sklep bez żadnego więcej słowa.

Próbowaliśmy właśnie umieścić wszystko w bagażniku, kiedy May zeszytniała. — Coś nadchodzi.

Zamrugałam. — Co?

— Coś nadchodzi — powtórzyła. — Z..... — Obróciła się, aby przeskanować cienie na końcu parkingu, po czym podniosła ramię i wskazała mi palcem w miejsce, w którym budynki ustępowały zarośłom. — O tam.

— Danny? — Odłożyłam torbę, którą trzymałam, sięgając po srebrny nóż przyczepiony do mojego lewego biodra. Trzymałam żelazo po prawej na wypadek sytuacji nadzwyczajnych, które nie pozwalały mi pogrywać miło. Miałam takiego rodzaju sytuacje nadzwyczajne zdecydowanie częściej, niż bym chciała.

— Jasne. — Jego ludzkie zauroczenie skrzyło się wokół niego, gdy zrobił krok do przodu, rozmywając się, aby pokazać prawdziwy odcień jego skalistej skóry. Zaciśnął dłonie w pięści. Jedno jego uderzenie miało naprawdę spore szanse na zatrzymanie pociągu towarowego.

Żadne z nas nie zakwestionowało przekonania May o tym, że mieliśmy gości. W zwyczajowej naturze sobowtórów leży to, że nikt tak naprawdę nie wie, do czego są zdolne. Każdy spędzony z nią dzień jest kolejną zupełnie nową przygodą. Źródło tych nowych przygód przestępowało teraz z nogi na nogę, spoglądając na cienie, które wskazała. — Czuje się tutaj trochę nieuzbrojona.

— Wsiadaj do samochodu, May — powiedziałam.

— Jesteśmy pewni, że to ktoś nieprzyjazny? — Spytał Danny.

— Gdyby był przyjazny, nie wiedziałabym, że tu jest — odparła May.

Kolejna może nieco trywialna informacja do kompendium wiedzy o umiejętnościach sobowtóra, robi pranie i wyczuwa wrogo nastawionych gości. — Uroczo — wymamrotałam i odetchnęłam głęboko, zapach miedzi i świeżo ściętej trawy wzrastał wokół. Moja matka była wróżką o najlepszych umiejętnościach w całym świecie wróżek z zakresu magii krwi. Oczywiście zanim oszalała. Nie jestem tak dobra jak ona, ale jestem na tyle dobra, że potrafię rozpoznać pochodzenie otaczających mnie wróżek.

Dla przykładu magia May smakuje jak wata cukrowa i popiół a jest czystej krwi sobowtórem. Danny był stabilny jak granit, troll mostowy w każdym calu, sobowtór i odmieniec. Ale było tu coś jeszcze? Parłam do przodu, czując już w głowie pierwsze przebłyski migreny. Odmienicy mają swoje ograniczenia. Niektórzy większe niż inni.

— Toby.— Zaczął Danny.

— Czekaj. — Nieomal go miałam. Ślad był nikły prawdopodobnie dlatego, że osoba była niewidzialna, ale nadał tu była. Sięgnęłam po niego, łapiąc tak mocno jak tylko mogłam i ...złapałam.

Przez moment byłam zbyt zaskoczona, żeby wyodrębnić jakikolwiek sens z tego, co poczułam. Jakaś część mnie nie oczekiwała, że ta mała sztuczka zadziała. Przełknęłam skupiając się na punkcie, w którym krew wydawała się być najsilniejsza i powiedziałam. — Wiemy, że tu jesteś. Nie sądziłam, że wróżki Daoine Sidhe podkradają się do ludzi.

Posmak kardamonu rozgorzał mi w ustach, odpędzając moją magię daleko i pozostawiając na tym miejscu pulsujący ból głowy. Skrzywiłam się, zamrugałam i przeoczyłam moment, w którym mężczyzna zastąpił puste powietrze.

Był wysoki, szczupły i przystojny jak gwiazdor filmowy z ciemnymi włosami i mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi, które były tak samo naturalne jak moje zaokrąglone uszy.

Czar iluzji migotał wokół niego, ukrywając naturę wróżki, przed każdym, kto mógł wyrzeć przez okno Safeway'a. I nie wyglądał zbyt szczęśliwie z powodu tego, że został przyłapany. — October Daye? — Zapytał.

— Zgadza się — odparłam. — A ty jesteś?

— Królowa mgieł wysłała mnie, aby poinformować cię, że twoja obecność jest wymagana — odpowiedział. Jego spojrzenie zubożało, kiedy przemówił, stając się tą stałą, spokojną maską odpowiednio wyszkolonego dworzanina. — Macie przybyć niezwłocznie.

— Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie. — Opuściłam dłoń z rękojeści noża, zdegustowana. Nie oczekiwałam manier od królowej mgieł, ani od nikogo, kto dla niej pracował. Ale to nie znaczyło, że nie doceniłabym, chociaż ich śladu. — Czy podała ci powód?

— Nazywam się Dugan Harrow. Jeśli zaś chodzi o resztę, królowa nie jest zobowiązana do podawania powodów swoim poddanym. — Jego protekcyjny uśmiech ledwie skrywał irytację.

— To rozkaz czy prośba? — Nie widziałam królowej od czasu, gdy skończyłam sprawę morderstwa Evening Winterrose, Księżnej Ienna Złotej Zieleni. Wątpiłam w to, aby była bardziej zmartwiona moją nieobecnością na dworze niż ja sama.

Podniósł brew. — Nie byłem świadom różnicy. Twoje przybycie jest oczekiwane w ciągu godziny. Nie polecałbym sprawienia zawodu jej wysokości.

Pozostawił to suche ostrzeżenie wiszące w powietrzu, po czym odwrócił się i odszedł. Zapach kardamonu teraz zmieszanego z cynamonem ponownie zrobił się intensywny, po czym zniknął.

A skoro wróżki Daoine Sidhe nie mogą się teleportować, prawdopodobnie otoczył się zaklęciem niewidzialności i odszedł do tego, czego używał, aby dostać się do domu.

Ta iluzja była jego sposobem na zrobienie tak zwanego wielkiego wyjścia, takie właśnie są wróżki czystej krwi, zawsze wykorzystują maksymalną ilość specjalnych efektów.

W tym przypadku poskutkowało, ponieważ wszyscy staliśmy i gapiliśmy się za nim. W końcu May przerwała ciszę, pytając. — Myślisz, że mamy dość czasu, aby zawieść lody do domu i włożyć do zamrażalnika, zanim kompletnie się wścieknie?

Danny i ja wymieniliśmy spojrzenia i jęknęłam, pocierając nasadę nosa.

— Wygląda na to, że mamy randkę ze szlachtą — powiedziałam.

— Cóż, niech to szlag. — Podsumował Danny.

Opuściłam głowę. — Dokładnie to samo pomyślałam.

## Dwa

Osiągnęliśmy kompromis i pojechaliśmy z powrotem do mieszkania, gdzie May i ja włożyłyśmy wszystkie łatwo psujące się rzeczy do lodówki, podczas gdy Danny czekał w samochodzie z odpalonym silnikiem. Nie było żadnych pytań o to, czy pojedzie z nami. Danny jeździł po San Francisco taksówką od pięćdziesięciu lat. Jeśli ktokolwiek mógł dowieść nas na dwór królowej nim ta zdecyduje, że śmiertelnie ją obraziliśmy, to był to właśnie on. Oczywiście to mogło również oznaczać, że oficjalnie stał po mojej stronie i to, mogło tym samym decydować, że byłby uwzględniony w chowanej od długiego czasu urazie do mnie i tego, co moje. Danny był jednak gotowy podjąć ryzyko. Byłam wdzięczna. Nie zbaczam specjalnie z drogi, aby bratać się z królową mgieł, ale próbuję też nie narażać się jej, kiedy mogę coś na to poradzić.

Odczepiłam pasek z nożami zostawiając go przy drzwiach. Nie zawsze wszystko potrafię przemyśleć dogłębnie, ale nie jestem głupia a pójdę na dwór królowej uzbrojona, mogłoby być ostatnią rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobię. Po chwili, zrzuciłam moją skózaną kurtkę i powiesiłam ją obok noży. Kochałam tą kurtkę. Kiedyś należała do Tybalta, króla lokalnego dworu kotów. Nosiłam ją nieomal każdej nocy, co znaczyło, że ubranie jej na dwór królowej byłoby straszliwym pomysłem. Ta kobieta miała niefortunne zamiłowanie do transformacji moich ubrań.

Moje palce był dziwnie niechętnie, gdy miały puścić kołnierz kurtki. Ubranie jej byłoby okropnym pomysłem, ale to była swego rodzaju walka i nie cierpiałam tego, że pójde na spotkanie bez broni i mojej zwyczajowej zbroi.

— Toby?

Podsłuchiłam, obracając się wokół i znajdując May, stojącą tuż za mną. Wyglądała na zmartwioną.

— Jesteś gotowa?— Zapytała.

Nie. — Jasne — powiedziałam, zdejmując dłoń z kurtki i sięgając do drzwi. — Jedźmy.

Danny podkręcił silniki, kiedy nadchodziłyśmy i ruszył nim zdażyłam zapiąć pas, wystrzelivując z podjazdu z prędkością, która z kimkolwiek innym za kółkiem zdecydowanie byłaby niebezpieczna. A skoro był to Danny, jazda była nieomal kojąca. Ufałam, że nas nie pozabija a jeśli będziemy się poruszać z taką prędkością, nie wpadniemy w żadną zasadzkę.

— Czy taksówki nie mają jakiegoś ograniczenia prędkości? — Spytała May, opierając łokcie na tyłach mojego fotela. Nie zawracała sobie głowy pasem bezpieczeństwa. Nie było sensu suszyć jej o to głowy, skoro jedynym sposobem na zranienie sobowtóra jest zranienie osoby, z którą jest związany. Tak długo jak mi nic nie będzie, nie będzie i jej.

— Moja nie ma — powiedział Danny i dotknął muślinowej torebki, która zwisała z wstecznego lusterka. Krótkotrwały, ostry zapach soli morskiej i mieszanki ziół rozlał się po aucie. — Moja przyjaciółka prowadzi warsztat i robi je dla klientów. Jestem niewidzialny dla policji tak długo, jak będę aktualizował to, co kilka miesięcy.

Obserwowałam torebkę z nieklamany z zainteresowaniem — Gremlin?

— Taa — powiedział. — Teraz muszę zadać ci pytanie.

— Dlaczego to zdanie zawsze przyprawia mnie o dreszcze? — Opartam się na siedzeniu, zaplatając ramiona na piersi. — Śmiało.

— Co królowa ma do ciebie, tak w ogóle? Ostatnie, co słyszałam to z twojego powodu dostała nowe włosci. Powinna być ci wdzięczna, czy coś w tym rodzaju a nie traktować cię jak śmiecia.

Nabrałam powietrza. Wypuściłam. Znowu nabrałam i powiedziałam ostrożnie. — To skomplikowane.

— Więc to od komplikuj.

— Tobym nie powinna przyjmować należnych jej zasług — powiedziała May. Posłałam jej miazdzące spojrzenie. Wzruszyła ramionami.

— To prawda.

— Nie dbam o to. Wciąż nie lubię o tym mówić. — Zerknęłam ponownie na Danego. — Rycerze królowej szukali osoby, która zabiła młodszą siostrę Evening, Dawn a królewscy jasnowidze szukali miejsca do stworzenia nowych włości. Poszczyliło mi się znalazłam jedno i drugie.

Słodki Oberonie, to był niesamowity moment. Wszystko dobrze się ułożyło, po raz pierwszy w całym moim życiu. Przed tym byłam tylko jednym z dzieciaków Devina, kolejnym odmieńcem, ulicznym szcurem walczącym o przetrwanie. Poszukiwania mordercy Dawn pokazały mi, że mogę być zdolna do robienia czegoś naprawdę ważnego czegoś, co nie pozostawiałoby mnie, co rano przed pójściem do łóżka z uczuciem, jakbym przehandlowała kolejny kawałek swojej duszy. Oczywiście nigdy nie miałam się wydostać ze swojego bagna. Królowa dość jasno się w tej kwestii wyraziła. Wezwała mnie na prywatną audiencję w swoich komnatach, chwalać moją pomysłowość, schlebiając pamięci mojej matki a nawet oferując miejsce pośród swojego osobistego personelu. Wszystko, co miałam zrobić to trzymać gębę zamkniętą i pozwolić, aby to strażnicy zebrały całą chwałę, która na pewno należałaby do nich gdybym nie miała farta. Tylko, że to nie był fart, niech ją szlag. To była ciężka praca. I miałam zamiar pozwolić jej to sobie odebrać, tak czy inaczej, ponieważ dorastałam, jako odmieniec w świecie wróżek czystej krwi, które świetnie się spisały, ucząc mnie gdzie jest moje miejsce. Sylvester był jedynym, który nalegał abym otrzymała i przyjęła zasługi za swoją pracę. Królowa nigdy nie wybaczyła mi tego, że go posłuchałam...a ja, nigdy nie zapomniałam, że on był jedynym, który odważył się przemówić w moim imieniu.

— Szczęście? — Danny przyglądał mi się z powątpiewaniem, wydając się ignorować drogę, po której pędził dwadzieścia mil więcej niż ograniczenie prędkości. — Nie sądziłem, że wierzysz w szczęście?

— Och, ona jest super przesądna — powiedziała May. — Po prostu głównie wierzy w te złe rzeczy. Jak tam Barghestsy? Wciąż przeżuwiają meble?

Potrafię rozpoznać, próbę rozmowy ratującą sytuację, kiedy takową słyszę. Posłałam May pełne wdzięczności spojrzenie i oparłam się wygodnie na siedzeniu starając się bardziej przykładać uwagę do pełnej radości historii Danego, niż zastanawiać się, czego też może chcieć ode mnie królowa. Danny prowadził schronisko i usługi ratownicze dla Barghestsów (okropnych na wpół psów, bestii z rogami, pazurami, kłami i żądlami jak u skorpiona, praktycznie posiadającymi wszystko prócz skrzydeł) Tylko troll mostowy mógł kochać coś takiego jak to. Danny je uwielbiał. Ale wszystkie Barghesty świata nie mogły powstrzymać mnie od zastanawiania się nad tym, co też mogła zaplanować królowa. Choć miło było, chociaż spróbować.

Było na tyle późno, że Danny znalazł miejsce na samym skraju parkingu, dzięki czemu czekał nas bardzo krótki spacer w stronę wody. Przynajmniej oznaczało to, że będziemy w stanie wrócić w miarę szybko do samochodu, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nie byłoby to w końcu pierwszy raz.

— Nie bądź taka ponura — powiedziała May, wyskakując z samochodu i otwierając mi drzwi nim sama miałam okazję. — Wydaje mi się, że wiedziałabym gdyby czekała cię egzekucja.

— To w żaden sposób nie poprawia mojego samopoczucia. — Wsunęłam dłonie do kieszeni, przechodząc przez chodnik w kierunku plaży. Danny i May podążali za mną.



Z naszej trójki, to właśnie ja chodziłam tą ścieżką najczęściej. Biorąc pod uwagę moje próby unikania królowej było to nieomal smutne. Letnie krainy utrzymywane są w ukryciu za magicznymi drzwiami. Drzwi prowadzące do włości królowej są ukryte w niewielkiej jaskini, na publicznej plaży znajdującej się nad zatoką San Francisco.

Nie jest to miejsce, do którego można się najłatwiej dostać, zwłaszcza w czasie przyływu a wydaje się, że królowa zawsze zwołuje cały dwór w tym właśnie okresie. Całkiem zabawny przypadek.

Piasek sprawiał, że szło się znacznie ciężiej. Zdecydowanie zbyt szybko został on zastąpiony mokrymi, pokrytymi szlamem skałami, zmuszając do gramolenia się, jeśli nie chciałam skąpać się w Pacyfiku. Danny i May szli o wiele łatwiej niż ja, poruszając się z gracją właściwą wróżkom czystej krwi. W końcu żadne z nich nie mogło skończyć z szamponem z morskiej soli na głowie. Ciężko było nie żywić do nich za to urazy zwłaszcza, kiedy Danny złapał mnie za ramiona, aby podtrzymać przed upadkiem i powiedział przepaszająco. — Chyba powinienem iść pierwszy. Tam jest zupełnie ciemno. Moje widzenie w nocy jest nieporównywalne do ludzkiego, ale przy wróżkach czystej krwi, byłam jak ślepiec. Niezbyt to pożądana cecha, kiedy jesteś w całkowitej ciemności. Przesunęłam się, aby przepuścić Dannego, próbując nie okazywać jak bardzo zirytowana byłam i nieomal na pewno nie do końca mi się to udało.

— Robi się coraz bardziej ślisko.

— Świetnie — mruknięłam, wspinając się na ostatni kawałek skały oddzielający nas od drzwi, prowadzących do włości królowej. Nie było tu żadnego piasku, tylko żwir, szlam i wodorosty. — Nie mogę uwierzyć, że to robimy. Chyba musiałam postradać rozum.

— Odpowiedź na wezwanie królowej nie jest wcale szaleństwem, nawet jeśli ona sama jest szalona. — Podsumował Danny.

— Cóż, to prawda. — Usłyszałam plusk i obróciłam się tylko po to, aby zobaczyć May wydostającą się z wody, przemoczoną do wysokości biodra. Podniosłam brew.

May uniosła podbródek defensywnie. — Skały są śliskie.

Były śliskie, ale czy były na tyle śliskie, aby sprawić, że spadła z nich wróżka czystej krwi, podczas gdy mi udało się przejść? Upadek May wyglądał podejrzanie. — Mówiłam ci, żebyś uważała — powiedziałam a uśmiech błąkał się w kąciakach moich ust.

— Uważałam, ale grawitacja wygrała — odpowiedziała z uśmiechem. — Musisz się rozchmurzyć nim zamartwisz się na śmierć.

— To nie zamartwienie przyczyni się do mojej śmierci. — Ruszyłam do jaskini, gestem nakazując im podążyć. — Chodźcie.

Mądrze, tym razem Danny pozwolił mi poprowadzić.

Wejście do włości królowej, zawsze jest ciemne częściowo, aby odwieść ludzi przed zapuszczaniem się w te rejony a częściowo podejrzewam, że dlatego, iż lubi oglądać wpadających na ściany odmieńców. Jeśli istnieje sposób, aby dostać się z plaży bezpośrednio do komnaty audiencyjnej nie brocząc po kostki w wodzie, to nikt nigdy mi o nim nie powiedział. Zaciśnęłam zęby i przyłożyłam dłoń do ściany, aby utrzymać się w linii prostej. Przyćmione światło księżyca wpadające do jaskini tylko na odległość trzech, czterech stóp od wejścia, pozostawiało mnie absolutnie ślepą. Szłam dalej dopóki lekka, szara poświata zaczęła zabarwiać powietrze. Ściany zrobiły się mgliste, moje palce zanurzyły się w powierzchni tego, co jeszcze przed chwilą było litą skałą. Zamknęłam oczy i weszłam w krąg światła.

Czym częściej wykorzystywane jest Wejście do Letnich Krain, tym płynniej się przez nie przechodzi. Po dwóch krokach, już nie słyszałam oceanu.

Po trzech w powietrzu nie czułam już smaku soli. Woda wokół moich kostek zamieniła się w mgłę, po czym zniknęła całkowicie. Ziemia ustabilizowała się a mokre dzinsy przylegające do mych kostek zastąpiły ciężkie warstwy spódnic kołyszące się wokół nóg, królowa stosowała swoje stare sztuczki.

Kiedy rozmyśla się ostatnia ze ścian, zatrzymałam się, otworzyłam oczy i rozejrzałam.

Jaskinia zniknęła, zastąpiona przez rozległą salę o białych ścianach. Filary z kości słoniowej ze skomplikowanymi rzeźbami, wznosiły się spotykając sufit z lekko odblaskowego, białego marmuru. Podłoga była zrobiona z tego samego kamienia. Ludzie, którzy spędzali sporo czasu na dworze królowej nauczyli się już, aby nie zwracać głów zbyt szybko, skoro nieoczekiwana zmiana może przysporzyć im nieprzyjemnego zawrotu głowy.

— Hej to niesamowite! — Powiedziała May, jej reakcja potwierdzała, że poczucie przyzwoitości królowej, przekładające się na stroje, nie ograniczało się tylko do mnie. Wzbraniając się przed tym, co nieuniknione spojrzałam w dół.

Moja koszulka i jeansy zniknęły, zastąpione przez jedwabną suknie z dekoltem w kolorze wyschniętej krwi. Suknia May, była identyczna jak moja we wszystkim z wyjątkiem koloru, była w dziwnym odcieniu fioleto, pasującym do pasemek w jej włosach. Podczas gdy Danny, miał na sobie prosty, brązowy garnitur jakie nosili dżentelmeni w roku 1800. Wyglądał w nim zupełnie swobodnie, tak jakby zawsze w wolnym czasie robił za bramkarza w bajkowej mafii.

Ich ludzkie zauroczenie zniknęło razem z ciuchami. May dużo się nie zmieniła. Jej oczy przekształciły się z niebieskich do ich naturalnej nieomal zupełnie pozbawionej koloru szarości, podczas gdy jej rysy twarzy wyraźnie złagodniały a uszy stały się widocznie szpiczaste. Wydawało się, że Danny zyskał jeszcze stopę więcej w wysokości i szerokości. Jego skóra była szara, szorstka jak granit a włosy wyglądały jak mech. Podniosłam dłoń, aby odgarnąć włosy i poczułam końcówkę własnego ucha. Dziś nie było iluzji dla nikogo.

— Przynajmniej ma wycucie kolorów — powiedziałam i zwróciłam się z powrotem do sali balowej.

Miejsce było wypakowane wróżkami z setek różnych ras. Tłoczyli się wokół nas, poruszając się w zwolnionym wirze, jak fala życia. Kilkoro z nich gapiło się bezczelnie w naszą stronę. Oparłam się chęci, aby wystawić język.

Spojrzenia zrobiły się jeszcze bardziej zszokowane, gdy przystanęła obok mnie May. Wpatrywała się bez cienia wstydu, posunęła się nawet do tego, że oparła się na piętach, studiując żyrandole. Wyglądała zbyt podobnie, więc od razu było wiadomo, że jest moim sobowtórem. I chociaż sprowadzenie jej na dwór było technicznie dopuszczalne (w końcu była wróżką i żyła w królestwie mgieł jak i ja, przynajmniej dopóki istniałam), to nie był to krok, jaki większość nazwałaby właściwym.

— I tak nigdy nie byłam fanką tego, co właściwe — powiedziałam do siebie.

May przystanęła, gapiąc się na mnie z otwartą buzią. — Co?

— Nieważne. — Tłum zaczął się odwracać, plotkując teraz o obecności May. Nawet nie zwracali sobie głowy udawaniem, że się nie gapią.

Dlaczego wróżki czystej krwi ( najczęściej wróżki czystej krwi powiązane z dworem królowej), miałyby dbać o to, że są niegrzeczne dla Odmieńca?

— Zrób sobie zdjęcie, to nie potrwa wiecznie — powiedział Danny. Ostatni maruderzy odwrócili się, ewidentnie nas lekceważąc. Danny zignorował ich, spoglądając na mnie. Jak myślisz, kiedy zaczniesz przedstawienie?

— Nie wiem. Podium w centralnej części sali było puste, tron też. Nie byłam tym zaskoczona. Królowa wie jak ważne są dramatyczne wejścia. — Śmiało, idźcie wmieszać się w tłum. Prawdopodobnie potrwa to jeszcze jakiś czas.

May zmarszczyła się. — Wiec, dlaczego się śpieszyliśmy?

— Kiedy, to królowa się spóźnia, jest to tak zwane modne spóźnienie. Kiedy my się spóźniamy jest to obraza. A teraz chodź, możesz pograć na cudzych nerwach, samym już tylko swoim istnieniem.

May zaśmiała się i złapała ramię Dannego, pociągając go za sobą w tłum. Uśmiechnęłam się i potrząsnęłam głowę, obracając się, aby ruszyć w przeciwną stronę. Dworzanie szeptali, gdy przechodziłam. Głośne szepty z oddali powiedziały mi gdzie była May i Danny. Pozwoliłam, aby mój uśmiech przekształcił się w złośliwy uśmieszek. Mój sobowtór, był idealnym rozkojarzeniem i nie miałam żadnego problemu z wykorzystywaniem jej do tego właśnie celu. Jaki jest sens posiadania osobistego wcielenia śmierci, jeśli nie możesz wykorzystać go do wprowadzania w błąd mieszkańców lokalnego dworu?

Znalazłam nieokupowany przez nikogo kawałek ściany i oparłam się o niego, obserwując dwór, powracający do swojej normalnej rutyny. Nieśmiertelność sprawia, że nuda ma równy status i nic nie jest na tyle interesujące, aby odwrócić uwagę wróżek czystej krwi na zbyt długo. Najwyraźniej podróżowanie ze swoim własnym sobowtorem nie mieści się wysoko w ich lidze. Dobrze wiedzieć. Ludzie poruszali się, przemieszczając z jednej grupki do drugiej, dzieląc informacjami i rozpuszczając plotki, szukając jakiś soczystych kawałków w sam raz do szantażu. Ktoś przesunął się obok mnie, czekając przez kilka sekund, nim odchrząknął w uprzejmej próbie zwrócenia na siebie mojej uwagi. Obróciłam się i z zaskoczeniem stwierdziłam, że wpatruje się w nieludzko zielone oczy umiejscowione w twarzy o ostrych rysach.

Zamrugałam, próbując ukryć zaskoczenie, jednak całkowicie nieskutecznie.

— Tybalt.

— Dobrze wiedzieć, że wszystkie te formalne ukłony nie zaburzyły twojej zdolności do identyfikacji twarzy — powiedział a cień uśmiechu zadrgał na jego ustach. Jego źrenice zwężyły się pod wpływem światła, przyjmując kształt kocich. — Nie poprawiły również twoich manier. Na wypadek gdybyś nie była świadoma to, *witaj*, jest tym, co zwykle pojawia się, jako następne.

— Ja...co ty tu robisz? — Wróżki Cait Sidhe to jedyna rasa w świecie wróżek ze swoją własną, niezależną hierarchią arystokracji. Tybalt był królem kotów San Francisco od lat. Nie miał zakazu odwiedzania dworu królowej, ale zdecydowanie nie był kimś, kogo oczekuje się tu zobaczyć. Uśmiechnął się teraz naprawdę. — Dokuczam dziewczynom podpierającym ściany, niezauważanym przez nikogo.

Poczułam jak moje policzki zalały się czerwienią.

Dorastanie wokół wróżek Daoine Sidhe pozostawiło mnie poważnie znieczuloną na słowo ładny. Uroda jest tania w świecie wróżek. Piękno nawet jeszcze tańsze. Tybalt miał w sobie coś więcej niż piękno. Miał...osobowość. Potrafił przyciągnąć uwagę całego pomieszczenia i utrzymać ją bez żadnego wysiłku, nawet nie próbując tego zrobić.

Naprawdę o wiele łatwiej przychodziłoby mi ignorowanie go, gdyby był tylko 'ładny'.

Jak na ironię to, co najbardziej do mnie przemawiało, jeśli chodzi o jego osobę to było to, co sprawia, że większość czystej krwi wróżek, nie Cait Sidhe, uważało go za zwyczajnego albo dzikiego. Jego twarz przyciąga uwagę, ale zbyt mocno jak na gust większości wróżek, włosy ma brązowe z pasmami czerni imitującymi pręgowane futro, przycięte krótko i praktyczne, krótko tak, aby ukazywać subtelne końcówki jego uszu. Jego kły są odrobinę zbyt ostre, bardziej kocie bez względu na to, w jakiej jest aktualnie formie. Jednym słowem, Tybalt jest jedną z tych osób, która wyglądałaby dobrze nawet w worku po kartoflach.

Prawdopodobnie byłby w stanie uczynić z takiego worka, najmodniejszy w sezonie element garderoby a to, co miał na sobie tej nocy było bardzo, bardzo dalekie od worka.

Dopasowane, spodnie z brązowego zamszu i śnieżno biała lniana koszula sprawiały, że wyglądał jak dżentelmen żywcem wyjęty z wiktoriańskiej epoki. Buty i kamizela z ciemno brązowej skóry przylegały równie ciasno. Nie byłam pewna, czy mógł oddychać w tym stroju.

Jakiś maleńki, zdradziecki głosik w mojej głowie szeptał, że efekt ten był warty utraty odrobiny tlenu.

Odepchnęłam z siłą od siebie tą myśl. — Poważnie, dlaczego tu jesteś?

— Dzisiejsza uroczystość wydawała mi się zabawna — odpowiedział. — Lubię zabawę. — Coś w jego oczach klóciło się z uśmiechem, który zakrzywiało mu usta i ostrzegwał mnie, aby go nie zbywać.

— Zabawna uroczystość? — powtórzyłam jak echo.

— W rzeczy samej. — Jego oczy wpatrywały się w moje. — Przynajmniej dla niektórych.

Nie byłam pewna, co na to odpowiedzieć.

To, co łączyło mnie i Tybaltę właściwie można nazwać 'dziwnym' związkiem. Kiedyś nienawidził mnie ogólnie dla zasady, ponieważ byłam w połowie człowiekiem i irytowałam go a to był dla niego wystarczający powód. Ta nienawiść w jakiś sposób ustąpiła niechętnemu szacunkowi ... a potem sprawy przybrały naprawdę dziwny obrót. Przewlekłe, tęskne spojrzenia, na przemian z chłodnymi jak zimny prysznic i dziwnymi spojrzeniami, przynajmniej po mojej stronie. Nie żeby mogło się to w jakiś sposób rozwinąć. Tybalt jest królem dworu kotów a ja, no cóż, jestem mną. Aktualny wzorzec naszego zachowania wyglądał bardzo podobnie do tego starego, przynajmniej na pozór. Uśmiechał się bardziej niż zazwyczaj a ja uśmiechałam się w odpowiedzi, bardziej niż było to konieczne, co niekoniecznie było najmądrzejsze z mojej strony.

Był tylko jeden problem, Tybalt wciąż nalegał na to, że nie wiem czegoś na tyle istotnego i ważnego, że nie uwierzę w to, dopóki sama tego nie odkryję. I nie chciał zbliżyć się do mnie bardziej, dopóki nie dowiem się, o co chodzi.

Kiedy chce potrafi być nieznośny. Jak każdy inny kot jakiegokolwiek poznałam.

Zaoferował mi ramię z idealną dworską manierą. — Pani Mgieł wkrótce zwoła dwór. — Nie nazwałby jej królową, ale był na tyle inteligentny, aby zachować formy grzecznościowe, na terenie jej domostwa. — Mogę pozostać, jako twoja osoba towarzysząca?

Zerknęłam ostro na niego, szukając najmniejszego śladu kpiny, ale nie było jej tam. Był tylko uśmiech i kontrolowana ostrożność.

— Chyba tak — powiedziałam i wśliznęłam dłoń w zgięcie jego łokcia.

Jego uśmiech poszerzył się na krótką chwilę, usuwając z oczu ostrożność. — Wiem, że nie lubisz, kiedy ktoś wybiera dla ciebie strój, ale ta suknia pasuje do ciebie. Powinnaś częściej nosić czerwień. — Moje policzki zapłonęły. Zaśmiał się. — Nie do końca to miałem na myśli, ale komplement jest nadal aktualny. Stojąc prosto i właściwie jak dżentelmen, którym był, o czym głosiło jego ubranie, obrócił się i poprowadził mnie do następnej sali. Obserwowałam go, kiedy tak szliśmy próbując wykombinować, o co mu chodzi. Wyraz jego twarzy nie zdradzał żadnej wskazówki.

Tybalt zabrał ramię, gdy dotarliśmy na skraj tłumy i zaoferował mi ukłon, bynajmniej nie szyderczy. Ukłoniłam się grzecznie w automatycznej odpowiedzi i znowu zalałam rumieńcem. Rozglądał się na boki, kiedy ja prostowałam się po moim ukłonie i przez chwilę myślałam, że jego policzki są tak czerwone jak moje, ale była to tylko gra światła, kiedy odwrócił się z powrotem do mnie, był opanowany jak zawsze.

— Stąd będziesz miała lepszy widok — powiedział.

— Hmm, jasne. — Zmarszczyłam się. — Tybalt, co ty kombinujesz?

— O nie — powiedział, machając dłonią, gdy podchodził bliżej. Nie kwestionuj swoich atrybutów. Nie ma w takim zachowaniu niczego atrakcyjnego.

To był Tybalt, którego znam. — Jasne — powiedziałam. — Jesteś tu tylko po to, aby mnie wkurzyć.

— Wydajesz się być postrzegana jako jedna z moich mocnych stron a ja lubię popisywać się moimi mocnymi stronami. — Nagle spoważniał i zbliżył się do mnie ponownie, zatrzymując się w tym, co uważałam za swoją przestrzeń osobistą. Opuszczając głos nieomal do szeptu powiedział. — Pani Mgieł coś planuje. Uważaj na siebie mała rybko, nie darzy cię ona zbytnią miłością.

— Tybalt .—

— Muszę pozostawić cię rozgniewaną na siebie i na nią. Wolałbym, aby nie miała powodów myśleć o nas jak o przyjaciółach.— Jego uśmiech przygasł, robiąc się krzywy i szczery w tym samym czasie.— Zrobisz lepiej, jeśli będziesz trzymać mnie w rezerwie.

Zamrugałam. Królowa spiskowała przeciw mnie? Nie było to całkowite zaskoczenie, nie mogłam unikać jej wiecznie. Z powodu braku lepszych instrukcji od mego mózgu, moje usta skupiły się na tym, co wydawało mi się najdziwniejsze i zapytałam.— Jesteśmy przyjaciółmi?

Śmiech Tybalta był tak miękki, że nie usłyszałabym go, gdyby nie był tak blisko, że czułam i ciepło jego skóry i lekki zapach mięty, charakterystyczny dla jego magii. — Gdy jestem w stanie znieść twoje towarzystwo. I w interesie przyjaźni mam nadzieję, że wybaczysz mi to, co mam zamiar zaraz zrobić.

— Wybaczę ci c...—

Moje zdanie zostało przerwane, kiedy nakrył moje usta swoimi i pocałował mnie głęboko.

Cóż, to było coś nowego.

## Trzy

Dłonie Tybalta w jakiś sposób znalazły drogę do moich bioder, dając mi coś, o co mogłam się oprzeć. To było bardzo taktowne z jego strony, bo moje kolana drżały tak mocno, że ledwie stałam na nogach. Każdy mój nerw płonął. Fakt, że staliśmy po środku dworu królowej, wydawał się zupełnie nieistotny. Tak samo jak fakt, że otaczali nas jej dworzanie nawet, jeśli jakaś część mnie wiedziała, że pożałuję tego później. Większa część mnie była zajęta całowaniem Tybalta i tak długo jak on też mnie całował miałam zamiar podążyć za głosem większości.

Przy tych kilku okazjach, kiedy zastanawiałam się, jakby to było pocałować Tybalta, zawsze zakładałam, że byłby nachalny, jak tego rodzaju facet, który jasno daje ci do zrozumienia, że on tu rządzi i lepiej przyjąć to do wiadomości. Ale ten pocałunek w niczym nie przypominał tego, co sobie wyobrażałam. Był stanowczy, owszem i zdecydowanie podejmował próby jego kontynuacji, ale... był również miękki i o wiele bardziej delikatny, niż się spodziewałam. Nie jestem pewna, co to wszystko mówiło o mnie.

Wolna ręka Tybalta gładziła moje plecy, poruszając się w tą i z powrotem po nagiej skórze między łopatkami. Wtuliłam się w niego, pogłębiając pocałunek. Jego usta smakowały miętą, dłonie przesuwaly się coraz wyżej, w końcu zatrzymując na moich ramionach.

A wtedy mnie odsunął.

Cofnęłam się, moje zszokowane spojrzenie napotkało jego lodowate, znajome szyderstwo. Głosem ściśle kontrolowanym na tyle głośnym, aby usłyszeli nas wszyscy wokół, powiedział. — Więc, nasze zobowiązania zostały splatecone. Dobrego wieczora, *Sir Daye*. — Obrócił się na pięcie i ruszył poprzez tłum zanim doszłam do siebie na tyle, aby zapytać, o czym do diabła mówił.

Dworzanie rozstępowali się, robiąc mu przejście, zamykając się ponownie za nim. Ci mniej taktowni posyłali w moją stronę ironiczne uśmiešky z wyrazem twarzy mówiącym, że dostałam to, na co zasłużyłam.

Instynkty nakazały mi pozostać na miejscu, dopóki moje kolana nie przestaną drzeć, podczas gdy mniej grzecznościowe nawyki wyuczone, u Devina, które z taki trudem starał się wyplenić ze mnie Sylvester, przebijały się przez moją czaszkę i mówiły, że to najgorsza rzecz, jaką mogłam zrobić. Wyprostowałam ramiona, próbując naśladować wyraz twarzy mojej mamy, którym pokazywała absolutną i całkowitą bez troskę, kiedy pośpiesznie, acz przyzwoicie wycofywałam się do najbliższego filaru. Widząc, że nie dostarczę im więcej rozrywki, tłumek odwrócił się a ja oparłam się o ścianę, pocierając czoło i czekając, aż moje serce przestanie walić. Życie było o wiele łatwiejsze, kiedy Tybalt po prostu dokuczał mi przez cały czas.

— Kłopoty z facetami? — zapytała May, podchodząc i stając obok.

Zerknęłam na nią. — Nie widziałaś, co się stało?

— Widziałam, najwyższa pora — powiedziała z niepokojącym upodobaniem. — Widziałam wszystko. Dobrze całuje? Wiem, że się zastanawiałaś.

— May!

— No co? Tylko pytam, to znaczy, pewnie to nic ważnego, że Tybalt cię pocałował. I jestem pewna, że nie ma znaczenia fakt, że wychodzi a ty wyglądasz jakby ktoś ukradł ci szczeniaka. — Przerwała. — Może, ukradł ci kociaka, byłoby lepszym porównaniem.

— Możemy o tym nie rozmawiać?

— W porządku — powiedziała uprzejmie May. — To nie moja sprawa, skoro chcesz ignorować gorącego faceta, robiącego do ciebie maślane oczy, *w stylu wybierz mnie i zabierz ze sobą do domu*.

— To był tylko taki wybieg. — Wybieg, który straszliwie przypominał pocałunek. Nie było mowy, aby kiedykolwiek pocałował mnie w taki sposób i zrobił to naprawdę, ale przez chwilę czułam jakby....

— Nie jesteś aż taką gęsią. Musisz wiedzieć, że on cię lubi, no wiesz *lubi, lubi?*

— Chyba żartujesz.

— Przecież bym cię nie okłamała — wyszczerzyła się w uśmiechu. — Obserwowanie waszej dwójki jest zabawne, na pewien chory i sadystyczny sposób.

— Znajdź sobie własne życie.

— Mam twoje. A teraz daj spokój i nie mów, że nie chciałabyś się z nim poprzytulać?

Nie musiałam znajdować odpowiedzi na to pytanie. Zapach jarzębiny przesycił powietrze, zmywając zapachy każdej innej pomniejszej magii i powodując absolutną ciszę na dworze. Moje ramiona ogarnął nowy, zupełnie inny typ napięcia.

— Wow — powiedziała May.

Odwrociłam się w kierunku podium i czekałam.

Królowa poczyniła pewne zmiany w swoim wyglądzie. Kiedy przyniosłam jej kuferek nadziei, którego ochronę własną śmiercią okupiła Evening Winterrose, królowa była eteryczną syreną, tak elegancką i królewską, jak z mokrego snu Tolkiena. Teraz wyglądała jak bękartka córka Titanii i Alice Cooper. Proszek antymonowy obramowywał jej oczy a niebieska pomadka pokrywała usta. Jej dawniej długie do podłogi włosy w kolorze kości słoniowej były zebrane w niechlujnego boba z pasemkami błękitu i czerni. Miała na sobie pończochy kabaretki, podarty biały top i czarną skórzaną mini spódniczkę, zbyt krótką, aby mogła być przyzwoita, ale zdecydowanie była to ona. Nie można było pomylić, bezprzytomnego szaleństwa w jej oczach koloru spienionego morza.

Obserwowała pomieszczenie nim opadła na tron, opierając łokcie na poręczach i podpierając na knykciach podbródek. Wyglądała tak luzacko, jak nastolatka przygotowująca się na wieczór bezmyślnej telewizji. Z tą różnicą, że ta '*nastolatka*' była najpotężniejszą monarchią wrózek w północnej Kalifornii. Machnęła dłonią i powiedziała.

— Dwór Mgieł rozpoczyna swoją sesję. —

To chyba wszystkie fanfary, jakie dostaniemy. Dworzanie podchodzili do przodu, czytając ze zwojów jakby odstawiali jakąś proklamację, prosząc o osąd i generalnie robiąc wiele hałasu o nic. Królowa nie powiedziała słowa. Po prostu tam siedziała, studiując swoje pomalowane na czarno paznokcie.

Trwało to jakąś godzinę, na tyle długo, aby znalazł nas Danny. May zaczęła paplać o wyczuciu mody królowej a ja zaczęłam się relaksować. Królowa spojrzała do góry nieomal jakby wyczuła, że moje bariery zabezpieczające opadły i powiedziała. — Czy, Sir October Daye z królestwa mgieł, rycerz utraconych słów, córka Amandine ze świata wrózek, zaprzysiężona księcia Sylwestera Torquill, mogłaby wystąpić?

Używała mojego pełnego tytułu coś, co nigdy w moim doświadczeniu, nie było dobrym znakiem. Zmieniłam wyraz twarzy na całkowicie neutralny, odsunęłam się od filaru i przeszłam poprzez milczący tłum w końcu, zatrzymując się na przeciwko podium. Wzrok królowej pozostał na mnie, kiedy podchodziłam, jej własny wyraz twarzy był chłodny i kalkulujący. Skłoniłam się formalnie, głęboko i pozostałam tak, póki nie powiedziała.

— Możesz wstać. —

Wyprostowałam się, skupiając wzrok na podłodze. Nigdy nie patrzę na królową, jeśli nie muszę tego robić. Mam w sobie dość krwi śmiertelników, aby uważać jej nieludzkie piękno za niebezpieczne.

— Wezwaliśmy cię, aby przedyskutować twoje ostatnie działania. — Każde słowo było zimne i precyzyjne jak tnący kryształ. — Podnieś głowę, jeśli łaska.

Zamrugłam spoglądając do góry. Widok jej twarzy był nieomal fizycznie bolesny.

— Moje działania, wasza wysokość?

— Tak, October. — Usiadła leniwie krzyżując nogi. — Pamiętasz ostatni raz, kiedy stałaś przede mną na tym dworze?

To byłoby wtedy, gdy wyrzuciła mnie za to, że odważyłam się poinformować ją o śmierci Evening. O, tak. Pamiętałam. — Tak, wasza wysokość.

— Zwróciłaś kuferek nadziei, który był w posiadaniu pani Złotej Zieleni przed jej....odejściem. — Zaciśnęła usta. Większość wrózek czystej krwi uważa za *faux pas* przyznanie, że naprawdę mogą zginąć.— Od tego czasu nie widziałaś się ze mną. Zastanawiam się, dlaczego.

— Byłam zajęta, wasza wysokość.

— Tak, byłaś. Hrabina O'Leary mówiła, że spędziłaś trochę czasu na jej ziemiach i — ponownie ta nuta dezaprobaty — poczyniłaś wysiłki w rozwikłaniu pewnej sprawy, zapobiegając ewentualnej wojnie.

— Tak, wasza wysokość — odparłam. — Hrabina O'Leary, zakładałam, że chodziło jej o April, nie o January, to kolejne morderstwo, o którym nie wspomniała. Nie byłam pewna, dokąd zmierza z tym wszystkim, ale nie pomagało to wcale moim nerwom.

— Cieszy mnie, że twoja pamięć pozostała taka doskonała — powiedziała sucho. Nerwowy chichot rozległ się wśród tłumu, zatrzymując natychmiast, gdy jej spojrzenie utkwilo na jego źródle.

Spoglądając z powrotem na mnie, powiedziała. — Zostałam poinformowana, że ty jesteś powodem tego, że polowanie ślepego Michael'a zniknęło. Czy to prawda?

— Tak, wasza wysokość.

— Doskonale. — Oparła się z powrotem na swoim tronie. — Pojawiło się wiele próśb o przejęcie opieki nad Złotą Zielenią, od czasu odejścia Hrabiny Winterrose. Niektóre petycje miały całkiem atrakcyjne argumenty.

Zmarszczyłam się niepewna, czy podoba mi się kierunek tej rozmowy. — Wasza wysokość?

— Decyzję przypieczętował fakt, że hrabina nie miała potomstwa, pozostawiając ciężar wyboru opiekuna włości na moich ramionach. — Jej uśmiech był tak samo pełny tryumfu jak i gorzki. — Przez moją władzę, jako królowa mgieł, renegata zachodnich ziem, nadaje ci tytuł hrabiny Złotej Zieleni. Witamy w gronie szlachty, *Lady Daye*.

Dwór obleciał wybuch podekscytowanego szeptu. Gapiłam się na nią zbyt oniemiała, aby się odezwać. Odmieńcy nie dziedziczą tytułów, nawet po swoich rodzicach, co chciała osiągnąć? Królowa wstała z uśmiechem. — Ten dwór zostaje zamknięty. Jeśli ktoś jeszcze ma petycje, zostaną wysłuchane w przyszłym tygodniu.

— Wasza wysokość, proszę poczekać.— Zaczęłam.

— Dobrej nocy, *Lady Daye*. Twoja matka musi być taka dumna. — Zapach jarzębiny wzrastał wokół niej, kiedy tworzyła się w jej kręgu gęsta mgła. Gdy powietrze znowu się oczyściło, jej już nie było.

Świetnie. Po prostu świetnie.

Cały dwór nadal szeptał, kiedy wróciłam do May i Dannego. Więcej niż kilka wrogich spojrzeń poleciało w moją stronę. Dokładnie tego potrzebowałam, jeszcze większej liczby wrogów. Przynajmniej May i Danny nie wyglądali na wściekłych. Zaskoczonych, zdezorientowanych owszem, ale nie wściekłych. Oparłam się o filar pomiędzy nimi, zakrywając twarz dłońmi.

— Na owłosione jaja Oberona. — Podsumował Danny.

— Cholera. — Dodała May.

— Tak. — Potwierdziłam. — Cholera.

— Naprawdę, cholera.

— Chyba zrozumiała, May — powiedział Danny. Duża ręka spoczęła delikatnie na moim ramieniu. — Dobrze się czujesz?



— Nie mam pojęcia — powiedziałam, opierając się chęci, aby histerycznie się roześmiać. Wydawało się, że to jedyna odpowiednia do zaistniałej sytuacji, odpowiedź. — Wrobiła mnie.

— Możesz się z tego jakoś wywinąć? — Domagała się odpowiedzi May.

— Nie sądzę.

— To kiepsko.

Westchnęłam. — Mów mi jeszcze.

— October! — Głos Tybalt'a przepychającego się przez tłum, płynął w naszą stronę. Nie było już w nim rozbawienia, czy też fałszywej kpiny.

Jego twarz była opanowana, ale źrenice zwęziły się do wąskich szczelin, zdradzając poruszenie. — Na słowo, jeśli mogę.

— Tybalt? Co się stało? — Ruszyłam do przodu nim przypomniałam sobie sposób, w jaki mnie pocałował. Danny i May najwyraźniej nie zapomnieli, ponieważ przesunęli się tak, że otaczali mnie po obu stronach, oboje obserwując go ostrożnie. — Myślałam, że twoje małe przedstawienie było po to, aby ludzie myśleli, że nie chcemy być widywani razem publicznie. A może coś mnie ominęło?

— Sprawy uległy zmianie. Musimy porozmawiać. — Złapał mój nadgarstek, ciągnąc w swoją stronę. — Chodź ze mną tak spokojnie jak tylko możesz. Chyba nie w pełni rozumiesz, co się właśnie stało.

Zamarłam, spoglądając na jego dłoń. — Możesz chcieć teraz mnie puścić.

— Toby, ty nie... —

— Widzisz, jeśli tego nie zrobisz, będę zmuszona podjąć próbę połamania ci palców. — Mój głos był spokojny w porównaniu do serca, które biło zdecydowanie za szybko. — Nie dałam ci pozwolenia na to, abyś mnie dotykał, zwłaszcza nie po tym, taktycznym zgraniu, które odegrałeś wcześniej.

— Proszę. — Ścisnął mój nadgarstek nim go uwolnił. Nie cofnął się do tyłu. Ja również. — Musisz pójść ze mną. To pułapka. Musisz mi zaufać.—

Jakieś zamieszanie zaczęło rozprzestrzeniać się poprzez tłum po lewej, odwracając uwagę nas obojga praktycznie w tym samym czasie. Tybalt przesunął się do przodu na wpół osłaniając mnie przed tym, co nadchodziło, cokolwiek to nie było. — Co się dzieje? — Spytała May, brzmiąc bardziej na zainteresowaną niż zmartwioną. Danny i Tybalt wymienili spojrzenia, na krótko zjednoczeni przez konsternację. Mój sobowtór miał moje wspomnienia, ale nie odziedziczył instynktu unikania wiążących się z nimi kłopotów i nie wiedziałam, jak bardzo rozwinęła się jej nowo odkryta zdolność wyczuwania niebezpieczeństwa. Tybalt przesunął się ponownie, tym razem ustawiając się też pomiędzy May i nadciągającym zagrożeniem. Posłałam mu pełne wdzięczności spojrzenie, na które odpowiedział skinieniem.

— Jakiś pomysł, co to może być? — Spytał Danny.

— Jeszcze nie, ale naprawdę żałuję, że jestem w tej chwili nieuzbrojona — wymamrotałam. Naprawdę poważnie myślałam o tym, żeby złapać May i skierować się do drzwi, kiedy Marcia (ćwierć krwi odmieniec służący, jako pomoc w Herbacyanych Ogrodach) przepchała się przez tłum, podążał za nią mężczyzna, wróżką Tylwyth Teg w konserwatywnych, nowoczesnych ubraniach. Wyglądał na wyczerpanego.

— Toby! — Zawodziła Marcia, nieomal popychając Tybalt'a, kiedy sięgnęła, żeby złapać mnie za rękę. Jej oczy były szeroko rozwarte i zaszkłone, usmarowane maścią wrózek. Niezbędnym kosmetykiem, przynajmniej dla niej, jej krew jest, bowiem zbyt słaba, aby mogła zobaczyć bez niej większość ze świata wrózek.

— Marcia? — Objęłam jej dłoń. — Co się stało?

— Musisz przyjść — zawodziła. — Musisz przyjść teraz, proszę.—

— Co się stało? Uspokój się i powiedz. —

Zamarła z oczami wypełnionymi łzami i wyszeptwała. — To Lily. Jest chora, Toby jest naprawdę chora nie wiemy, co robić.

— Lily jest chora?

Lily była zwierchniczką Marcii, panią Herbacianych Ogrodów i rusałką. Rusałki są biologicznie dziwne, nawet jak na standardy wróżek, skoro ich ciała zrobione są w całości z wody. Woda nie rozumie czegoś takiego jak choroba. Może zostać zanieczyszczona, ale nie może zachorować. Co znaczyło, że jeśli Marcia miała rację coś było bardzo, ale to bardzo nie tak.

— Jest chora, jest naprawdę chora. Nie wiedziała kim jestem ja,ja...— Jej głos załamał się. — Proszę przyjdź.

— Oczywiście, że przyjdę. — Zawahałam się rozglądając po otaczającym nas tłumie. Wielu z nich stało przysłuchując się otwarciu a ci, którzy nie słuchali otwarciu prawdopodobnie podsłuchiwali. Zniżając głos, spytałam. — Tybalt? Co robi królowa, jeśli nagle opuścimy to zgromadzenie?

Jego oczy zwęziły się, kiedy zrozumiał sens mojej wypowiedzi. — Nic, co spodobałoby się nam, czy też poddanym Herbacianych Ogrodów.

— Jasne — odparłam. Wróżki nie mają paparazzich, ale mój tytuł szlachecki był newsem ostatniej godziny. Jeśli teraz wyjdę miejsce, do którego się udam, przyciągnie prawdopodobnie niezdrową ilość uwagi a Herbaciane Ogrody były niezależnym lennem. Ostatnie, czego im było trzeba to pełna uwaga królowej. Z Lily w złym stanie, nie miałiby szans powstrzymania 'właściwego szlachcica' od przejęcia władzy. Potrzebowaliśmy odwrócenia uwagi. Rozejrzałam się po naszej niewielkiej grupce.

May odwracała uwagę już samym tylko swoim istnieniem a Tybalt był nawet bardziej, niż zdolny do zakłócenia porządku i tworzenia publicznej afery, jeśli tylko miał odpowiednią motywację. Zniżyłam głos. — Danny, możesz odwiedzić May do domu? — Skinął krótko. — W porządku. Kiedy wszystko przycichnie, będziesz musiał to zrobić. W międzyczasie, upewnij się, że nikt nie podąży za nami do Herbacianych Ogrodów. Marcia, jak się tu dostałaś?

Nasz konspiracyjny węzeł musiał wyglądać trochę dziwnie z zewnątrz, ale towarzysz Marcii, wydawał się dotrzymywać nam kroku. Odpowiedział za nią, trzymając coś, co wyglądało jak ręcznie robiona miotła.

— Wzięliśmy ekspresową miotłę z krwawnika.

— Czy ma trzy miejsca?

— Co? — Zapytali May i Danny nieomal jednocześnie. Tybalt nie powiedział słowa. Tylko skinął, zrozumienie pojawiło się w rysach jego twarzy. Nie wyglądał jakby to pochwalał, ale przynajmniej był w stanie zrozumieć. To musiało mi wystarczyć na razie.

— Tak myślę — odpowiedział, wyglądając niepewnie. To może nie był najlepszy sposób na przedstawienie, ale wydawał się uprzejmy. — Jestem Walther Davies.

— Toby Daye, cześć — powiedziałam i zwróciłam się do Tybalta. — Gotowy odegrać scenę?

Podniósł brew. — A czy mam jakiś wybór?

— Niezupełnie. Aby zacytować kogoś, kto powiedział mi to niedawno, w interesie przyjaźni, mam nadzieję, że wybaczysz mi to, co mam zamiar zaraz zrobić. — Wzięłam zamach i spoliczkowałam go. Uderzenie odbiło się echem po sali. Rozmowy ustały, kiedy wszyscy obracali się w naszą stronę, aby popatrzeć. Podniosłam głos do czegoś tuż przy granicy krzyku i warknęłam. — Ty dupku!!!!

Tybalt warknął w odpowiedzi tak szybko, że prawie udało mu się ukryć malujące się w oczach rozbawienie. — Zaoferowałam jedynie respekt, na jaki zasłużyłaś, *Lady Daye*.

May szybko wczuła się w rolę. Obeszła Tybalta, stając pomiędzy nami, wbijając palec wskazujący w jego pierś i krzycząc.

Nie wyłapałam, co mówiła ciężko było rozróżnić poszczególne słowa w szeptach tłumu i pokrzykiwaniach Dannego, żeby dali spokój i zaczęli zachowywać się jak dorośli. Obróciłam się do Marcii i Walthera.

— Chodźmy.

Ruszyłam do wyjścia szybkim krokiem z tą dwójką trzymającą się blisko tuż za mną. Tak jak oczekiwałam, widok sobowtóra i króla lokalnego dworu kotów, tak bardzo ich pochłonał, że nikt nie wydawał się już pamiętać, co w ogóle wywołało tą scenę. Nikt nas nie zatrzymał, kiedy opuszczaliśmy włości królowej w chłodną, noc śmiertelników.

## Cztery

Zaklęcie, które królowa rzuciła na moje ubrania było transformacją a nie iluzją. Nie zostało przełamane, kiedy opuściliśmy włości. Podróż z plaży do parku Złote Wrota odbyłam w sukni balowej, wczepiając się na śmierć i życie w tył prowizorycznej miotły Walther'a. Marcia jechała ściśnięta pomiędzy nami z ramionami oplecionymi wokół pasa Walther'a i oczami rezolutnie zaciśniętymi. Nie winiłam jej za to. Wróżki Tylwyth Teg potrafią latać, ale nie są mistrzami iluzji, abyśmy nie zostali dostrzeżeni, Walther musiał trzymać się na wysokości szóstego pietra przez cały lot.

Wiosna nad zatoką rozpoczyna się pod koniec lutego, ale San Francisco to nadmorskie miasto. Kiedy tylko zajdzie słońce robi się naprawdę zimno a większość sukienek nie jest przystosowana do tego, aby przebywać w nich na lodowato zimnym wietrze. Drżałam niekontrolowanie do czasu, gdy Walther wylądował we wnętrzu Herbacyanych Ogrodów.

Tak samo jak Marcia, której modne jeansy i koronkowy top nie dawały jej nieomal żadnej ochrony przed wiatrem.

— Przepraszam za to. — Walther zszedł z miotły, obracając się, aby pomóc zsiąść Marcii. — Nic wam nie jest?

— Czy wróżki Tylwyth Teg mają jakąś skłonność do samo zamrażania się czy coś? — Zeskoczyłam na ziemie, poprawiając spódnicę. — Nic mi nie jest. Gdzie Lily?

— Lily jest we włościach — odpowiedziała Marcia, po czym przerwała i przełykając ciężko dodała. — Nikt z nas nie wie, co robić. Dlatego przyszedłam cię znaleźć.

Rozejrzałam się po ciemniejących ogrodach nim zwróciłam swoją uwagę z powrotem na Marcję. Stała wspierając się na Waltherze. — Czy Lily kazała ci to zrobić?

— Nie. — Potrząsnęła głową. — My tylko...

— Nie mieliśmy żadnych innych opcji — powiedział Walther.

To stwierdzenie zawisło między nami, zupełnie prawdziwe i zupełnie tragiczne. Niezależne dwory takie jak Lily, rozkoszowały się sporą ilością swobody... za pewną cenę. Nikt im nie pomoże, jeśli coś pójdzie nie tak jak trzeba i ktoś zawsze ich obserwuje, czekając na jakąkolwiek oznakę słabości. Większość z nich utrzymuje swoje ziemie stwarzając pozory bezwładności i stanu jakby przejęcie ich sprawiłoby zbyt wiele zachodu. To, dlatego musieliśmy zainteresować dwór królowej czymś skandalicznie ciekawym. Gdyby królowa skierowała swoją uwagę...

— Cóż — odetchnęłam. — Czy ona wie, że tu jestem?

— Nie wiem — odparła Marcia.

— W porządku. — Szłam pierwsza, gdy kierowaliśmy się w stronę mostu księżycowego znanego, jako wejście do włości Lily. — Czy mogę zadać kilka pytań zanim wejdziemy?

— Pytaj — odparł Walther.

— Cóż, na początek, kim ty do cholery jesteś? Nigdy wcześniej cię nie widziałam a teraz jesteś jedną z osób, która przychodzi i informuje mnie o nadzwyczajnej sytuacji. Wydaje się to odrobinę... — Przerwałam, gdy zdałam sobie sprawę, w jakim kierunku zmierza koniec mojej myśli.

— Podejrzenie? — Dokończył Walther, wydając się nie zauważać mrugania Marcii.

Posłałam mu ostre spojrzenie. Ale wyraz jego twarzy był absolutnie niewinny. — Tak — odparłam. — Właśnie.

Walther wzruszył ramionami. — Przeniosłem się tu w ostatnim semestrze, pracuję.

Nie chciałem wyskoczyć tak od razu i proponować swoich usług komuś z lokalnej szlachty a Lily zgodziła się abym zatrzymał się tutaj w zamian za wykonanie dla niej czasem jakichś różnego typu prac, do czasu aż się nie zadomowię. Możesz sprawdzić moje referencje, jeśli chcesz.

— Być może tak zrobię, kiedy to się zaczęło? Dzisiaj czy wcześniej?

— Nie wiemy — odpowiedziała nieszczęśliwie Marcia. — Nic nie mówiła o tym, że jest chora, ale była naprawdę cicha przez ostatnie kilka dni.

— Pieria zraniła sobie skrzydło. Poszedłem zawiadomić Lily i znalazłem ją nieprzytomną na podłodze. — Walther odwrócił wzrok. — Udało mi się ją obudzić, ale nie pamiętała, kim byłem. Zacząłem się martwić i zabrałem trochę jej wód do przebadania. Były czyste. Nie wiem, co się dzieje.

— Naprawdę nie wiem, czego oczekujecie ode mnie. — Zaczęłam wspinać się na księżycowy most, z każdym krokiem coraz wyżej. Gałęzie nad moją głową zaczęły łączyć się ze sobą tworząc dach włóści Lily i odcinając się od świata śmiertelników.

— Nie wiedziałam, dokąd jeszcze mogłabym pójść — wyszeptala Marcia. Nie usłyszałabym jej gdyby nie była tuż za mną. — Nie było cię w domu, więc zadzwoniłam do Sylwestera a on powiedział, że zostałam wezwana na dwór.

Co technicznie oznaczało, że została przysłana do mnie przez mojego zwierzchnika. Ta cała sytuacja robiła się coraz ciekawsza, mimo, że i tak miałam zamiar spytać Sylwestera, skąd wiedział, że będę na dworze królowej. — Zrobię, co w mojej mocy — powiedziałam.

Ostatnia z gałęzi wśliznęła się na swoje miejsce, ponad nami, zakańczając transformację pomiędzy światem śmiertelników, a skrawkiem Letnich Krain należnych do Lily. Zeszłam z mostku, przystanęłam i spojrzałam, czując jak mój żołądek fika koziołka.

Pixie czepiały się tkanego sufitu, tworząc nikiłą poświatę blasku nad krajobrazem, która wydawała się mniej skomplikowana niż być powinna. Byliśmy otoczeni przez niekończące się stawy, strumienie, i maleńkie wysepki, ale gdzie się podziały te eleganckie mostki, pawilony, ozdobne karłowate, japońskie drzewka? Wyglądało tak jakby brakowało tu, co najmniej połowy włóści. Jedynym stałym elementem krajobrazu było skupisko płaczących wierzby po lewej. Spojrzałam w tamtym kierunku. Walther i Marcia byli tuż za mną.

Dwie kobiety stały przed wierzbami, opierając się o siebie w poszukiwaniu wsparcia.

Jedna miała łuski na twarzy, druga miała biało szarą skórę wróżki Gwragen z głęboko osadzonymi oczami. Kobieta z łuskami podniosła głowę, kiedy nadeszliśmy, wskazując swojej towarzyszce, aby zrobiła to samo. Stały odsunięte odrobinę od siebie, kiedy do nich podeszłam.

Wróżka Gwragen przesunęła się, aby chwycić mnie za rękę, gdy się zbliżyłam, po czym cofnęła się, wyglądając na zaskoczoną swoją własną śmiałością. — Nasza pani jest w gaju — powiedziała, przeskakując spojrzeniem ode mnie do Marcii. Jej oczy miały nieomal ludzki odcień brązu, znacząc ją, jako wróżkę pół krwi.

Pokiwałam. — Czy ona jest świadoma?

— Była — powiedziała pokryta łuskami kobieta. — Przytomność przychodzi i odchodzi. Proszę nie zostawaj za długo. Nie jest zbyt silna.

— Nie będę. — Obróciłam się, aby spojrzeć na Walthera i Marcie.

Pokiwali jednocześnie głowami. Walther gestem zaprosił abym poszła przodem, mówiąc. — Będzie lepiej, jeśli... jeśli nie pójdziemy.

— ...No tak — odparłam i przełknęłam ciężko. Stawałam już czoła mordercom, szalonym pierworodnym wróżkom i królowej mgieł. Ale nic z tego nie mogło równać się z lękiem, który czułam, kiedy ruszyłam do przodu odsuwając dyndającą kurtynę z gałęzi wierzby na bok, skręcając ramiona i wchodząc do środka.

Wnętrze gaju było wypełnione gorącą mgłą, praktycznie przekształcając to miejsce w saunę. Pot pokrył moją skórę nieomal natychmiastowo a wilgoć wsiąkała w materiał sukni, sprawiając, że ciężko było mi się poruszać. Nie było tu zupełnie ciemno, pixie oblepiały gałęzie, ale ich słaby blask ledwie wystarczył, abym poruszając się tutaj, coś widziała. Ruszyłam do przodu, idąc powoli, kiedy moje oczy przyzwyczajały się do ciemności.

— Lily?

Jak wiele rzeczy we włościach Lily, gaj wydawał się większy w środku niż z zewnątrz. Przeszłam dobre 6 metrów, nim ujrzałam płytki basen wypełniony cieniami, ukazującymi się w czasie dosłownie jednego mrugnięcia Lily. Zamarłam. Stałam przykładając dłoń do ust, jednocześnie próbując uwierzyć w to, co widziałam. Nie było to łatwe, ponieważ to, co ujrzałam było niemożliwe.

Walther i Marcia mówili, że Lily była chora, ale nie udało im się sprawić, abym zrozumiała, co naprawdę mieli na myśli tym stwierdzeniem. Teraz rozumiałam, choć naprawdę nie chciałam.

— Lily? — Wyszepiałam, robiąc kolejny pełen wahania krok do przodu.

— Ach. — Było to bardziej westchnienie niż w pełni ukształtowane słowo, któremu towarzyszyło lekkie wzruszenie na wpół zanurzonych w wodzie ramion. Jej głowa utrzymywała się na poduszce z mchu, reszta jej ciała była pod wodą, zamaskowana cienkim całunem jej włosów.

— Moja October. Zastanawiałam się, kiedy przyjdiesz. — Jej akcent był silniejszy niż kiedykolwiek słyszałam, wszystkie ślady San Francisco porzucone na rzecz Japonii, która zginęła przed wiekami.

— Podejź tu, moja droga.—

— Jestem tutaj.— Potykałam się pokonując te ostatnie kroki dzielące mnie od krawędzi stawu, upadłam na kolana zanurzając się w mchu.

Z bliska Lily nie wyglądała ani trochę lepiej. Jej skóra była woskowata a łuski wokół jej oczu zmatowiały, cały ich blask po prostu zniknął. Była zbyt szczupła i zbyt przygaszona. — Przykro mi, że cię zmartwiłam. Kto cię sprowadził?

— Marcia i Walther. Martwiłabym się bardziej, gdybym dowiedziała się o tym jeszcze później.

— Naprawdę? — Zwróciła się w moją stronę z otwartymi oczami. Przygryzłam wargę, aby powstrzymać słowa, które groziły ucieczką. Zieleń zniknęła z jej tęczy pozostawiając je ciemne, niezidentyfikowane jak najgłębsza woda. — Przyprawdzili cię niepotrzebnie, ponieważ wszystko jest w porządku. Jestem po prostu zmęczona.

— Nie wyglądasz na zmęczoną. Wyglądasz...— Pozwoliłam temu zdaniu odlecieć w próżnię, ponieważ nie byłam pewna jak powinnam je zakończyć. Wyglądała jakby umierała.

— Wiem jak wyglądam. — Lily westchnęła ponownie, jej oczy odpłynęły pod przymkniętymi powiekami. — Myślałam, że to coś w wodzie, jakieś nowe zanieczyszczenia, które spłynęły z wody w parku, świat nie jest tak czysty jak był wtedy, gdy byłam młoda. Myślałam, że to minie, ale tak się nie stało.

— Jak dawno się to zaczęło?

— Jakoś w zeszłym tygodniu. Zapytałam Walthera (drogiego Walthera, powinnaś lepiej go poznać, jest wróżką Tylwyth Teg, twoja matka by to zaaprobowwała, pracuje na jednym z uniwersytetów śmiertelników) zapytałam go czy nie zabierze mojej wody do zbadania. — Skóra u podstawy jej szczęki rozerwała się, kiedy potrzęsła głową. Słonawa woda sączyła się z rany.

— Niczego nie znalazł. Ale coś jest nie tak.

— Wszystko będzie dobrze.

— Czyżby? Zastanawiam się. Co się stanie z moimi dziećmi, kiedy mnie zabraknie? Nie będzie nikogo, kto by o nie zadbał jak mnie zabraknie.

— Nie musisz się o to martwić — powiedziała gorliwie. — Nic ci nie będzie.

— Och, October. Gdyby powtarzanie czegoś tak żarliwie, mogło uzdrawiać, już byłabym zdrowa. — Uśmiechnęła się, posyłając strumień wody spływający w dół jej gardła. — Zawsze byłaś taka zacięta, nawet wtedy, gdy byłaś tylko dopływem największej rzeki Amandine. Ale jej rzeka teraz wyschła, podczas gdy ty płyniesz w kierunku oceanu.

— Lily, proszę. — Położyłam dłoń na jej ramieniu. Jej skóra była jak lód.

— Co? — Jej uśmiech zamarł, zastąpiony dezorientowaniem. — Przepraszam. Ciężko jest znaleźć słowa. Próbowałam mnie ocalić, ponieważ taka jest twoja natura, tym właśnie jesteś. Ale proszę, jeśli masz zrobić cokolwiek, upewnij się, że ktoś zadba o moje dzieci. One potrzebują cię bardziej niż ja.

Chwilę zajęło mi opanowanie się. W końcu powiedziałam. — Przyrzekam.

— Dobrze. — Zapadła się niżej w wodę. — Przykro mi, ale jestem taka zmęczona...

— W porządku — powiedziałam, odsuwając dłoń. — Odpocznij. Zobaczymy się wkrótce.

Wstałam ostrożnie, wycofując się tą samą drogą, którą przyszłam. Jeśli Lily była świadoma tego, że odchodzę, nie dała mi żadnego znaku. W ogóle nie dawała żadnego znaku, że jest świadoma czegokolwiek. Po prostu pozostała tam w swoim basenie, milcząca i nieruchoma, pozwoliła mi odejść.